

Arkadiusza Żychlińskiego laboratoria antropofikcji

Łukasz Musiał

Arkadiusza Żychlińskiego laboratoria antropofikcji

Łukasz Musiał

Pamięci Sebastiana Salazara Bondy

Gawędziarz

1.

Istnieją dwa rodzaje czytelników: jedni podczas lektury nieustannie podkreślają ulubione fragmenty tekstu, biorą w kółeczka poszczególne frazy, rzucają, nieraz obszerne, notatki na marginesach stron, oraz tacy, co czytane przez siebie książki najchętniej pozostawiają nietknięte. Osobiście należę do tych pierwszych. Dlaczego o tym wspominać? Właśnie przeczytałem *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne* Arkadiusza Żychlińskiego¹ i odkąd miałem w dłoniach dwie pierwsze książki Michała Pawła Markowskiego (*Efekt inskrypcji. Jacques Derrida i literatura*, 1997 i *Nietzsche. Filozofia interpretacji*, 1997) rzadko „gryzmołem” tyle co tutaj. Nie bez przyczyny łączę ze sobą te trzy studia. Błyskotliwy podwójny debiut Markowskiego otworzył nową epokę w historii polskich badań literackich, monografia Żychlińskiego symbolicznie ją domyka.

Łukasz Musiał – prof. Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, dr hab.; zainteresowania badawcze: historia literatury niemieckojęzycznej, *world literature*; teoria literatury, komparatystyka literacka; ostatnie publikacje: *Kafka. W poszukiwaniu utraconej rzeczywistości* (2011); *Języki przemocy* (2014).

¹ A. Żychliński *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne*, Wydawnictwo Naukowe UAM – Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 2014.

Odważnie wytycza pionierskie marszrutę teoretyczną, a równocześnie, podobnie jak tamte prace, prowokuje do ważkich dyskusji, często do oporu.

Markowski doprowadził do zaimplantowania w badaniach literackich i filozofii idei poststrukturalizmu i tym samym unowocześnił dyskurs nauk humanistycznych w Polsce, przeżywających od dobrych kilku (nastu) lat teoretyczny zastój. Ale przecież nie tylko to. Kolejne książki młodego autora, artykuły naukowe, teksty krytycznoliterackie i publicystyczne, nie mówią o jego intensywnej działalności publicznej i popularyzatorskiej, przyciągały uwagę przede wszystkim świeżością spojrzenia na literaturę. Zaproponowany język analizy miał mało wspólnego z dominującym ówczesnie żargonem akademickim, tak odstręczającym, sprawiającym wrażenie, że stworzono go dla „wyrobników” nauki, ludzi skazanych na pisanie o literaturze za karę. Język Markowskiego był językiem namiętności i pasji; językiem, który czasem autora ponosił, owszem, lecz i wyraźnie pokazywał, że literatura to nie rezerwat dla bez końca „przeżywanego” konceptów historycznoliterackich, a poligon egzystencji.

2.

Studium *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne* niewiele łączy z debatami teoretyczno- i filozoficznoliterackimi ostatnich kilkunastu lat, nie grozi mu więc „inflacyjny” stosunek do badań literackich. Także samemu Markowskiemu merytorycznie nie zawdzięcza ono zgoła nic. Z jego wczesnymi pracami dzieli za to szczególną wrażliwość. Znajdziemy tu i namiętność, i pasję, i bardzo osobisty ton. I jeszcze przekonanie, że działalność krytyczna nie jest zawodem, lecz formą autobiografii.

Arkadiusza Żychlińskiego znamy z imponującej, idącej w dziesiątki ważkich pozycji, działalności naukowej, krytycznoliterackiej i translatorskiej. Sam o sobie mówi po prostu: filolog. W 2013 roku wydał nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia zbiór esejów pt. *Wielkie nadzieje i dalsze rozważania*, gdzie z ogromną przenikliwością analizuje twórczość rozmaitych pisarzy (m.in. Jamesa, Canettiego, Bolaño, Coetzeego), filmowców (Jean-Pierre’a Melville’a), filozofów (Nietzschego, Sloterdijka, Ciorana, Arendt). *Laboratorium antropofikcji* jest zupełnie inne. To rzecz w niewielkim jedynie stopniu poświęcona konkretnym zjawiskom z dziedziny literatury, filozofii, kultury, bardziej natomiast próba ujęcia praktyki czytania i pisania z punktu widzenia ogólnej teorii fikcji. Tym samym obie książki tworzą coś w rodzaju dylogii: pierwsza pokazywała Żychlińskiego w ogniu interpretacyjnych zmagani z autorami,

działami, epokami, druga bierze rozbieg o wiele dłuższy, chce bowiem odpowiedzieć na pytanie, po co w ogóle człowiekowi fikcje, nie tylko literackie. Czy ich tworzenie jest jedynie akcydentalną zabawą gatunku *homo sapiens*, czy może w istotny sposób warunkuje jego egzystencję? Antropologiczny wymiar fikcji, oto perspektywa, z której Arkadiusz Żychliński zadaje swoje kolejne intrygujące pytania. Jest ich w książce mnóstwo.

Na pytanie, dlaczego „fikcja”, nie zaś „literatura”, autor odpowiada prosto: bo przedmiotem jego zainteresowania nie są takie czy inne manifestacje instynktu narracyjnego (literatura, film, muzyka, malarstwo itp.), lecz sam ów instynkt – wyłącznie ludzka, zdaniem Żychlińskiego, umiejętność kreowania fikcji, niemająca swojego odpowiednika w świecie naturalnym. Dyscyplina, która zajmuje się opatrywaniem fikcji nadającym im formę komentarzem, jest filologia pojmowana za Nietzschem jako „sztuka rzetelnej lektury” (s. 15). I znów: dlaczego „filologia”, to niezbyt modne dziś słowo? Bo filologia jest według Żychlińskiego najbardziej powołana do tego, by zajmować się fikcjami i przyjemnością czerpaną z fabulacji.

Jako że Arkadiusz Żychliński jedynie w znikomym stopniu odgrywa tutaj rolę badacza literatury, na pytanie, po co komu filologia, nie zamierza odpowiadać, odwołując się do istniejących koncepcji teoretycznoliterackich. Z miejsca bierze je wszystkie w nawias – głównie dlatego, że ich konceptualne zaplecze jest zakreszone zbyt wąsko dla ogromnego projektu, którego realizacja stanowi cel studium. To przecież projekt *sensu stricto* antropologiczny: „Po pierwsze trzeba uznać – twierdzi przywoływany przez Żychlińskiego Brian Boyd – że fikcja odgrywa dużo bardziej kluczową rolę w naszym życiu, niż nam się wydaje – od momentu, gdy angażujemy się w odgrywanie udawanych scen, do chwili, gdy kończymy opowiadać naszą ostatnią historię. Choć ludzie wciąż z przyjemnością i zaangażowaniem tworzą i czytają literaturę, to jej akademickie badanie przyjmowało w ostatnich dekadach pozycje raczej defensywne, jakby była ona czymś marginalnym, przydatnym jedynie w sytuacjach, gdy można ją odczytać jako zamaskowane dążenie do reform politycznych. Jednak jeśli uznamy, że opowiadanie historii wyostrza naszą zdolność rozpoznawania zjawisk społecznych, prowokując do ponownego przemyślenia ludzkiego doświadczenia i pobudzając naszą kreatywność w sposób najbardziej dla nas naturalny, to nie ma powodu, by badania literackie musiały za cokolwiek przepraszać” (s. 18 i n.). Filologię widzi więc Żychliński ogromną: jako głos w debacie na temat człowieka i jego *conditio*; jako rodzaj *Life Studies* (w analogii do pojęcia *Life Sciences*); jako namysł nad fikcjami – owymi laboratoriami, w których nasza wyobraźnia testuje

najprzeróżniejsze modele rzeczywistości i egzystencji, przygotowując nas w ten sposób do życia.

Zamiarem Żychlińskiego jest ni mniej, ni więcej tylko pokazać, w jakiej mierze fikcje umożliwiają „eksperymentalną eksplorację ludzkiej samowiedzy” (s. 26), dzięki której *homo* stał się *sapiens*; dzięki której z przedmiotu ewolucyjnego eksperymentu stał się jego aktywnym podmiotem. Autor czyni to w dwóch uzupełniających się posunięciach: z jednej strony odwołuje się do ustaleń z zakresu badań antropogenetycznych, z drugiej do metafikcyjnych refleksji samych twórców literatury. Istotne *novum* stanowi szczególnie to pierwsze. Nie znam innego polskiego badacza literatury, który na taką skalę wypuszcza się poza dobrze spenetrowany (i z tego powodu tak bardzo bezpieczny) teren tradycyjnych nauk o literaturze, po czym kieruje swoją uwagę na nauki przyrodnicze, szukając odpowiedzi na pytanie o antropologiczny, także w biologicznym sensie, wymiar fikcji. To dlatego ta monografia zamyka pewną epokę. Na szczęście tuż za rogiem czeka całkiem nowy ład, tam właśnie udaje się Żychliński.

3.

Na przekór niektórym heroldom współczesnych *animal studies*, chcącym teoretycznie uzasadnić brak radykalnej różnicy między światem ludzi a światem zwierząt, i tym samym wbić osinowy kołek w samo serce anachronicznego ich zdaniem antropocentryzmu, Arkadiusz Żychliński zamierza... uratować człowieka w człowieku, czyli podjąć próbę rehabilitacji, przy użyciu nowoczesnego instrumentarium analitycznego, różnicy antropologicznej. I od razu wytacza działo najcięższe z możliwych: samego Martina Heideggera, dyżurnego dostawcę cytatów dla współczesnej humanistyki. W *Grundbegriffe der Metaphysik* filozof stwierdza rzecz następującą: „Kamień świata nie posiada, zwierzę jest w świat ubogie, człowiek zaś świat tworzy”. Swoją książkę Żychliński pół żartem, pół serio nazywa rozbudowanym przypisem do tej konstatacji. Trudno mu się dziwić, już na pierwszy rzut oka wydaje się, że zawiera ona *in nuce* całą skomplikowaną problematykę różnicy antropologicznej. A przede wszystkim uwypukla wyjątkowość gatunku *homo sapiens*, jedynego w dziejach Ziemi, który potrafi kreować światy nieistniejące, czyli fikcje. Między światem ludzi a światem zwierząt, nawet najbliższych nam pod względem genetycznym, istnieje bowiem zdaniem Żychlińskiego nieprzekraczalna przepaść – którą to tezę autor próbuje następnie rzeczowo uzasadnić, odwołując się do ustaleń filozofów analitycznych i filozofów języka (m.in.

Donald Davidson), filozofów umysłu (m.in. Daniel C. Dennett), psychologów rozwojowych i ewolucyjnych (m.in. Michael Tomasello) czy etologów (m.in. Marc Bekoff).

Niewzruszone przekonanie o wyjątkowości człowieka można by nazwać głęboko anachronicznym, gdyby Żychliński otwarcie stawiał na „twardy” antropocentryzm. Tak nie jest, a przynajmniej nie do końca. Jego pozycja lokuje się między teriofilią niemałej części współczesnych przedstawicieli nauk humanistycznych, zwłaszcza tych o lewicowych poglądach politycznych, a antropofilią o wyraźnie konserwatywnej proweniencji. Owo „między” – nazwijmy je softantropocentryzmem – pozwala autorowi z jednej strony przyznać, że większa część zdolności umysłowych człowieka stanowi rozwinięcie cech występujących u innych zwierząt, z drugiej stwierdzić istnienie nieprzekraczalnego „uskoku” oddzielającego świat ludzi od świata zwierząt. Szerokość uskoku wyznacza ludzki język, przemysłna machina generująca fikcje, odpowiedzialna za rozwój człowieka i wszystkie jego cywilizacyjne osiągnięcia. Na kilkuset stronach Żychliński sugestywnie kreśli dzieje gatunku *homo sapiens* właśnie z punktu widzenia uwarunkowanej umiejętności języka różnicy antropologicznej, próbując odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób ewolucja pozwala lepiej zrozumieć sztukę i literaturę, co odróżnia bycie ludzkie od bycia innych istot (głównie zwierząt) i jakie może mieć to znaczenie dla filologii.

Ale to wszystko to tylko – tylko! – połowa pracy. Oryginalnej, twórczej, prowokacyjnej, tak jak to bywa z najlepszymi książkami. Bo jest jeszcze i druga połowa, dosłownie włamana w pierwszą; tworząca, by odwołać się do oksymoronu, uzupełniająca kontrapunkt. To *Wariacje analityczne*, o zupełnie innym kształcie i odwołujące się do zupełnie innej wrażliwości – nazwijmy ją estetyczną. Część ta składa się z trzystu pięćdziesięciu dziewięciu wieloznacznych „błysków myślowych” już to filozoficznych, już to poetyckich, a może po prostu filologicznych. Patronuje im pospołu Wittgenstein i Benjamin. Od tego pierwszego, autora oryginalnych *Dociekań filozoficznych*, zapożycza Żychliński dociekliwość, która raczej zadaje pytania i mnoży wątpliwości, niż przedstawia gotowe rozwiązania; od drugiego czerpie z kolei zamiłowanie do cytatów, z których powstają wielopoziomowe intelektualnie kolaże odwołujące się do romantycznej poetyki fragmentu; „punktowe przybliżenia i powiększenia” (s. 104). Albo, jak chce w *Pasażach* sam Benjamin, przywoływany w dociekanium dwunastym, „literacki montaż” (s. 106).

Dociekania to takie „ładne kawałki”, pełne odniesień do wybranych fikcji literackich i filmowych, a przede wszystkim skrzynia wybornych

cytatów – wśród polskich badaczy literatury Żychliński bodaj najlepiej opowiedział niełatwą sztukę przywoływania cudzych wypowiedzi i nieinwazyjnego wplatania ich we własne. Jego kolaże można śledzić razem z tekstem głównym lub czytać niezależnie od niego, *Wariacje...* nie następują bowiem ani po części głównej ani jej nie poprzedzają. Po prostu nieustannie jej towarzyszą. Co należy rozumieć całkiem dosłownie: od pewnego momentu książka zbudowana jest tak, że po lewej stronie czytelnik śledzi następujące po sobie dociekania, po prawej zaś ma przed sobą „hard knowledge” w postaci rozdziałów zatytułowanych kolejno *Homo loquens*, *Homo narrans*, *Homo experimentalis*, odpowiadających zdaniem Żychlińskiego trzem ewolucyjnym stadiom gatunku ludzkiego z punktu widzenia rozwijanej tu teorii fikcji. Taki układ książki świadczy o gotowości podjęcia ogromnego intelektualnego ryzyka i praktycznie nie ma precedensu wśród polskich i zagranicznych prac o charakterze naukowym, zwłaszcza obecnie, kiedy biurokratyzacja nauki w coraz większym stopniu promuje ujęcia standardowe i niebezpiecznie słyca pojęcie naukowości. Tymczasem *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne* czyta się, także dzięki oryginalnej formie książki, po prostu jednym tchem, jak dobrą literaturę, dobrą powieść. To nie przejęzyczenie – bo jeśli Żychliński chce kimś być w tej książce przede wszystkim, to chyba, jak by powiedział po wielokroć przywoływany tu Mario Vargas Llosa, „gawędziarzem”, kimś, kto nie tylko bada, jak ludzie opowiadają sobie historie i czemu mają one służyć, lecz i sam snuje jakąś (arcyciekawą) opowieść. Przede wszystkim będzie to oczywiście opowieść o... sobie, przecież „człowiek pisze o swoim życiu, sądząc, że pisze o swoich lekturach”, jak mówi w dociekanii dwieście dziewięćdziesiątym drugim Ricardo Piglia (s. 302). Racja, przynajmniej w odniesieniu do autorów, którym, jak Żychlińskiemu, nie jest wszystko jedno.

4.

Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne to nie książka, która ma cokolwiek ratować, np. filologię przed marginalizacją, literaturę przed zniknięciem z horyzontu współczesnej kultury, w coraz większym stopniu, zwłaszcza w porównaniu z kulturą wieku XIX i znacznej części XX, neliterackiej. Żychliński nie martwi się o ich przyszłość, bo nie martwi się o fikcję, o „światotwórczą” (s. 65) funkcję języka. Człowiek to najpierw *homo loquens* (istota posługująca się językiem), potem *homo narrans* (istota opowiadająca historie), wreszcie *homo experimentalis* (istota eksperymentująca opowiadany z pomocą języka

historiami i tworząca w ten sposób modele egzystencji, które mają pośredni lub bezpośredni wpływ na kształt życia i jego jakość). Dlatego nie można sobie pomyśleć człowieka bez jakiejś formy fikcji, bez jakiejś formy opowieści o świecie i o uwikłaniu w świat. To pokrzepiająca wizja, na szczęście nie ma w niej nic z nużących, tak częstych przecież, jeremiad, w apokaliptycznym tonie wieszczących upadek literatury, filozofii, ba, całej zachodniej kultury. Obumrzeć – lub na określony czas stracić żywotność – mogą co najwyżej pewne konwencje fikcji, jak to już w przeszłości wielokrotnie bywało np. z eposem, sonetem, chorałem gregoriańskim, katedrą gotycką, operetką, czyli formami, z którymi obcowanie wprawdzie daje nam wciąż jeszcze niekiedy przyjemność poznawczą i estetyczną, ale które są już w pewien sposób od dawna martwe. Ponieważ jednak fikcja nie znosi próżni, w ich miejsce pojawiają się formy nowe, jeszcze liczniejsze, dostosowane do aktualnych gustów i potrzeb – choćby seriale telewizyjne czy gry komputerowe, z których wiele już przecież dawno temu wyszło z getta kultury „niskiej”, gdzie się narodziły.

O czym więc mówi Arkadiusz Żychliński, kiedy mówi o fikcjach? O życiu, tylko o tym, jakżeby inaczej. W końcu jest, co nie raz i nie da dwa daje do zrozumienia, gawędziarzem, piszącym autobiograficzną powieść w formie studium naukowego. Ale przecież tym też nauka może być i powinna: radykalnym eksperymentem przeprowadzanym nie tylko na abstrakcyjnych pojęciach, lecz na „mięsie” (własnej) egzystencji, na żywej tkance *conditio humana*. Nie jest to metafora, jeśli bowiem, jak chce Żychliński, umiejętność tworzenia fikcji należy do repozytorium wykształconych w toku ewolucji umiejętności *homo sapiens*, to ma ona korzenie biologiczne. Nie jest tylko formą relaksu, paliatywu czy opiatu, lecz okazuje się po prostu niezbędną dla podtrzymania i rozwijania określonych funkcji życia tego gatunku. W nawiązaniu do Petera Sloterdijka autor mówi o „symbolicznych systemach immunizacyjnych”, czyli mechanizmach kompensacyjnych, umożliwiających człowiekowi „zapuszczenie korzeni w niewygodnej sytuacji permanentnej ekspozycji na przygodność losu”, na śmierć (s. 157). W takich oto deklaracjach najpełniej uwyrażnia się antropologiczny, by nie powiedzieć ogólnofilozoficzny, sięgający samego jądra pytania o *conditio humana*, rys zasadniczej idei Żychlińskiego.

Obrzędy filologii

1.

Życie? Przygodność? Śmierć? *Conditio humana*? Dużo kładzie na barki filologii – a może przede wszystkim na swoje własne – Arkadiusz Żychliński,

bardzo dużo. To budzi szacunek. Niewielu jest dzisiaj autorów, którzy, podobnie jak ten, chcą bez mała wszystkiego.

Za patrona obiera sobie Żychliński prawdziwego giganta XX-wiecznej humanistyki, Martina Heideggera. Cóż, kiedy wyjściowe stwierdzenie filozofa – „Kamień świata nie posiada, zwierzę jest w świat ubogie, człowiek zaś świat tworzy” – w żaden sposób nie może służyć jako punkt wyjścia do tezy o istnieniu radykalnej przepaści między światem ludzi a nie-ludzi. Heidegger, a za nim Żychliński, musieliby bowiem najpierw wykazać, że nasz obraz świata ludzi i nie-ludzi nie jest jedynie projekcją naszej świadomości; przed-stawieniem, jak by powiedział Schopenhauer. Co zaś mówi Heidegger w przywołanym wyżej stwierdzeniu? Że człowiek świat tworzy. A skoro tak, znaczy to, że tworzy także własne wyobrażenie świata i wszystkich zamieszkujących je bytów; wyobraża sobie, że kamień świata „nie posiada”, zaś zwierzę jest w świat „ubogie”. Krótko mówiąc, jedyne, co stwierdza filozof, to to, że świat jest ludzkim wyobrażeniem i że poza tym nic pewnego nie można o nim powiedzieć – zaprawdę, przy najlepszych chęciach trudno uznać tę konstatację za przekonujący początek rozważań mających na celu dowieść istnienia różnicy antropologicznej. Dowodzi ona co najwyżej – o ile rzecz jasna uwierzymy Heideggerowi na słowo – że człowiek to istota zamknięta w granicach swojego „ja”.

Tę Heideggerowską wersję solipsyzmu, bardzo problematyczną, Żychliński dość nonszalancko bierze za dobrą monetę. Zapewne dlatego, że doskonale koresponduje ona z wizją filologii „totalnej”, jaką rozwija książka *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne*. W końcu to filologia, której ambicją jest objąć sobą całą rzeczywistość i całego człowieka w jego wymiarze egzystencjalnym; która chce przekroczyć tradycyjną filologię i stać się prawie „nadfilologią”. Motto książki zostało zaczerpnięte z Nietzschego: „Sądzi się, że filologia już się skończyła – ja zaś sądzę, że jeszcze się nie zaczęła” (s. 5). Z kolei motto rozdziału wstępnego brzmi: „Na nowo wynajdywać koło – oczywiście, cóżby innego?” (s. 9). To nie przypadek, że ów cokolwiek pomnikowy patos inauguracywności wyczuwa się tutaj prawie na każdym kroku.

2.

Myślę, że każdy, kto chce mieć coś do powiedzenia na temat różnicy antropologicznej, po czym wyciągać z tego daleko idące konsekwencje dotyczące wyjątkowości gatunku *homo sapiens* w skali całej ziemskiej ewolucji, a jeszcze szerzej – dotyczące *conditio humana* – powinien najpierw przyznać sam przed

sobą, uczciwie, jak często w swoim życiu miał okazję wejść w bliski (także naukowy) kontakt ze światem zwierząt. Podejrzliwość w tym względzie jest uzasadniona, w końcu za opiniami wielu zajmującymi się tą kwestią badaczy (zwłaszcza przedstawicielami humanistyki, zwłaszcza przedstawicielami *animal studies*) ciągnie się nieznośny zapaszek dyletantyzmu w zakresie wiedzy przyrodniczej, do której często pośpiesznie i bezrefleksyjnie odnosi się teorie powstałe w obszarze nauk humanistycznych i społecznych. W rezultacie o zwierzętach rozprawiają niebezpiecznie często autorzy znający się „[...] na przyrodzie, ale teoretycznie”. Te ironiczne słowa Gombrowicza z opowiadania pt. *Zdarzenia na brygu Banbury* przywołuje zresztą sam Żychliński (s. 81), określając swoją pozycję w ten sposób: „Nie wszystkie kwestie da się rozstrzygnąć zza biurka. Niemniej jednak pewne pytania dadzą się z tego miejsca postawić, można tu też wygodnie i w spokoju przyjrzeć się wynikom badań terenowych” (tamże).

Kłopot w tym, że nie rozumiem, jak można mówić o „wygodzie” i „spokoju”, skoro w przypadku badań nad zwierzętami i ich świadomością... trudno o jakiegokolwiek pewne, ostateczne wyniki. Wszystko, co mamy, to garść hipotez, i to dość ogólnych. Jedni autorzy skłaniają się do opinii, że (wyższe) zwierzęta posiadają jakąś formę językowej komunikacji, a w związku z tym także świadomość wykazującą odległe podobieństwo do ludzkiej, inni zwierzętom tego odmawiają. Co ciekawe i jedni, i drudzy przytaczają często dokładnie te same przykłady – zaobserwowane „zwyczajne pogrzebowe” srok, „zakochane” psy, „zazdrosne” słonie. Jest to jednak zdecydowanie zbyt ubogi materiał poglądowy, by na jego podstawie wysnuwać, jak to czyni autor, wnioski o istnieniu różnicy antropologicznej. Posiłkując się ustaleniami takich badaczy jak Donald Davidson czy Hilary Putnam, Żychliński rozwija złożoną teorię ludzkiej świadomości, której pierwszym i głównym wyznacznikiem jest intencjonalność i propozycjonalność. I oczywiście posiadanie języka. Zastanawia, że autor mówi o języku pojętym „na sposób ludzki” (s. 101) – milcząco zakładając, że jeśli mówimy o języku, musi to być język, jakim posługuje się człowiek. Tymczasem wśród zwierząt dają się przecież zaobserwować zachowania grupowe, które nie byłyby możliwe bez istnienia rozwiniętych form komunikacji i kooperacji, z kolei komunikacja i kooperacja nie może się obyć bez umiejętności wyrażania i odczytywania intencji. Jednak intencjonalności właśnie, i języka, Żychliński zwierzętom odmawia, nie uzasadniając tego w żaden sposób, który wychodziłby poza czyste spekulacje. Co więcej, budując swoją teorię, zwyczajnie ignoruje ustalenia i opinie wielu współczesnych badaczy zachowań zwierząt. Zachowania te Arkadiusz Żychliński redukuje

do „biologicznego programu” (s. 127), natomiast człowiekowi przypisuje samoświadomość, czyli posiadanie świadomej teorii umysłu. No dobrze, tylko skąd pewność, że człowiek rzeczywiście „posiada” świadomość tego, co robi, a nie, że tylko tak mu się zdaje? Może właśnie „posiadanie świadomości” to złudzenie wytworzone przez określony mechanizm biologiczny po to, by zwiększyć szanse gatunku *homo sapiens* w ewolucyjnym wyścigu? Może – czemu nie, pójdźmy jeszcze krok dalej – (samo)świadomość to jedna z „najsprytniejszych”, czyli najbardziej zaawansowanych form biologicznego instynktu? Wszystkie te wątpliwości i nieporozumienia wynikają przede wszystkim stąd, że Arkadiusz Żychliński utożsamia, w ślad za niektórymi przywoływanymi przez siebie autorami referencyjnymi, posiadanie świadomości z posiadaniem języka, to ostatecznie zaś z umiejętnością mowy – jako się rzekło, na sposób ludzki. Nie twierdzę bynajmniej, że poziom świadomości zwierząt i ludzi można ze sobą zrównywać. Uważam jedynie, że nie da się ich sensownie porównywać, za *tertium comparationis* uznając umiejętność, którą ma wyłącznie człowiek.

Skądinąd doskonale potrafię zrozumieć, dlaczego autor chce w ten akurat sposób „zremasterować” tradycyjny antropocentryzm: skoro zamierza uzasadnić wyjątkowość gatunku *homo sapiens*, musi to uczynić w oparciu o pojęcie języka, świadomości i fikcji. Musi, po pierwsze, uznać *a priori*, że człowiek rzeczywiście „posiada” świadomość (a nie tylko złudzenie jej posiadania), po drugie, ograniczyć pojęcie języka do takiej jego postaci, którą spotykamy u ludzi. Mało tego: spośród wielu form języka, jakimi posługuje się człowiek, wchodząc w interakcję ze światem i innymi członkami społeczności ludzkiej, Żychliński wybiera jedynie mowę. Złożone formy komunikacji międzyludzkiej i ludzkiej percepcji rzeczywistości drastycznie redukuje do umiejętności tworzenia i rozumienia słów, jak gdyby w tym procesie uczestniczyła wyłącznie czysta świadomość, odseparowana od reszty ciała, nieodbierająca bodźców innych niż te, które otrzymuje za pośrednictwem mowy, a więc np. niewerbalnych bodźców zmysłowych. To zaskakujące: wydaje się, że Żychliński remasteruje już nie tylko antropocentryzm, ale i platońsko-augustyńsko-chrześcijański dualizm „somy” i „psyche”, uważa bowiem w istocie, że świadomość jest czymś, co wykracza poza biologiczny program ukształtowany przez ewolucję. Dziwi to tym bardziej, że pisząc swoją monografię, autor musiał się natknąć na niezwykle wpływową we współczesnych badaniach, głównie kognitywistycznych, tzw. teorię umysłu ucieleśnionego (*embodied mind*), rozwijaną przede wszystkim przez znanego amerykańskiego językoznawcę George’a Lakoffa, który przekonuje, że język

należy rozumieć możliwie szeroko jako zestaw narzędzi działania w świecie, nieredukowalnych wyłącznie do mowy, i że poznanie jest uwarunkowane także (a może wręcz przede wszystkim) tym, czego doświadcza ludzkie ciało – w interakcjach z otoczeniem. Żychliński poświęca wprawdzie odrobinę uwagi gestom, od których miała się rozpocząć droga do bardziej złożonych form ludzkiej komunikacji, czyli do intencjonalności kooperacyjnej. Mimo to człowiek to dla niego przede wszystkim istota mówiąca i posiadająca rozum, a dopiero na dużo dalszym miejscu komunikująca się i kooperująca z innymi, m.in. za pośrednictwem ciała. Tymczasem np. Michael Tomasello, znany psycholog rozwojowy, inaczej rozkłada akcenty: *homo sapiens* to w jego ujęciu istota zorientowana na działanie, mianowicie w środowisku i w grupie społecznej – pośród ciał skomunikowanych ze sobą na wielu poziomach komunikacji werbalnej i niewerbalnej.

Stąd też skrajnie „cerebralna” filologia, dzięki której Arkadiusz Żychliński chce objaśnić rzeczywistość i człowieka w niej miejsce, jest nie tylko – o czym już była wcześniej mowa – filologią totalną, lecz w ogólnym swym wymiarze, i wbrew sporadycznym deklaracjom autora, poniekąd akomunikacyjną, filologią jednoosobowego użytku, czyli traktującą człowieka prawie jako odseparowaną od środowiska, zanurzoną w fikcjach monadę – jeśli już się z kimś komunikującą, to z innymi narracjami; jako posłuszny „instynktowi narracyjnemu” *mind out of body*; jako eksperymentatora zamkniętego w czterech ścianach swojej pracowni i fabrykującego kolejne, coraz to bardziej spektakularne i wyrafinowane „opowieści” bez większego związku z ciałem, otoczeniem, innymi ludźmi: „O świecie wiedzieć możemy tylko tyle, ile powiedzą nam słowa”, mówi Żychliński za J. Hillis Millerem (s. 154).

Naprawdę?

3.

Istotnie, nie wydaje się, aby problem komunikacji między ludźmi był dla Arkadiusza Żychlińskiego szczególnie ważki. Filologia, o którą mu chodzi, ma w sobie raczej coś z samotniczej alchemii: filolog-alchemik (czyli po trosze każdy człowiek) bada fikcje (czyli np. czyta powieści, ogląda filmy, słucha muzyki, gra w gry komputerowe), żeby lepiej „umościć się” w życiu. Obok, w drugim laboratorium, tkwi inny filolog-alchemik, inny człowiek, inna monada; i bada inne fikcje. Sześć miliardów ludzi, sześć miliardów laboratoriów, sześć miliardów fikcji? Sześć miliardów przyciągań i odepchnięć? Pojawia się pytanie, jak fikcje mają pomóc „zaszczepić” się – a tego przecież chce od

nich Żychliński – na przygodność życia, skoro idea laboratorium zakłada taki właśnie stosunek do świata i zamieszkujących go ludzi? Jak w tych warunkach cokolwiek „badać” i „testować” na serio? Przecież przeprowadzanie doświadczenia nie równa się doświadczeniu, taka gra byłaby zbyt prosta: gracz łąduje w obrębie określonego świata wirtualnego, po czym prowadzi w nim zaplanowane wcześniej „eksperymenty”, czyli realizuje z góry zaplanowaną strategię; do tego tworzy fikcyjne „modele”, niewątpliwie czegoś się przy tym także ucząc. Niestety autor *Laboratorium antropofikcji. Dociekań filologicznych* nigdzie nie ostrzega, że zawsze będzie to nauka w bardzo ograniczonym wymiarze, bo po pierwsze, gracza niewiele jest w stanie zaskoczyć – sytuacja gry zakłada przecież, że ryzyko niewiadomej zostaje zminimalizowane samym faktem istnienia określonych reguł – a po drugie, gracz jest w tym wszystkim całkowicie... sam. Gra w fikcje, jaką proponuje Żychliński, nie zakłada bowiem konieczności istnienia więcej niż jednego aktywnego ludzkiego uczestnika; dopuszcza ona co najwyżej czytelników/widzów/słuchaczy, słowem „asystentów”. To zresztą czyni ją równocześnie tak atrakcyjną: tu przecież nikt, w przeciwieństwie do realnego życia, nie „przeszkadza”, nie zakłóca precyzyjnie zaplanowanego obrzędu. Tylko czy naprawdę jest to życie, o jakie chodzi w fikcjach, w literaturze, w filologii – tak bliskiej Żychlińskiemu, tak rytualizowanej przez niego na rozmaite sposoby, tak celebrowanej? O ile pamiętam, autorowi szło na początku o życie, o przygodność, o śmierć. O *conditio humana*. O same ważne sprawy.

Filologia, której obraz rysuje Arkadiusz Żychliński, przywołuje mimowolnie figurę naukowca-samotnika, nie dialogującego ze światem, a co najwyżej „komunikującego” się z nim na warunkach nie innych niż te, które teoretycznie wypracował w swym laboratorium fikcji. Kiedy zastanawiam się, skąd się wzięło to – powszechne skądinąd wśród osób zawodowo zajmujących się literaturą – przekonanie, że obcowanie z tekstem literackim jest czynnością przede wszystkim samotniczą i „cerebralną”, przychodzą mi do głowy, po pierwsze, właśnie stworzone przez estetykę europejskiego renesansu, a później rozpowszechnione przede wszystkim przez romantyzm kody epistemologiczne, uwypuklające indywidualny charakter kreacji artystycznych (choć może początków tego nastawienia należałoby szukać jeszcze wcześniej, we wczesnochrześcijańskim ideale pustelnika pogrążonego w rozważaniach o Bogu – bo przecież nie u Greków, dla których bardzo istotny był wspólnotowy wymiar kreacji artystycznej i filozoficznej), powstających niejako w opozycji do świata, który zaczyna być traktowany jako mniej lub bardziej wrogi; jako chaos, który trzeba okiełznać; jako źródło traumy. Drugi powód może

wpływać z faktu, iż tak zwaną literaturą wysoką zajmują się od około stu pięćdziesięciu lat w dużej mierze „profesjonaliści” (zawodowi pisarze, krytycy, badacze), którzy wypracowali pewien szczególny modus pisania/lektury jako czynności wymagającej takich samych warunków co inne rodzaje pracy umysłowej, czyli najlepiej „gabinetowej” ciszy, „klasztornego” skupienia czy samotności właśnie. Innymi słowy: określony, wynikający z technokratyzacji nauki oraz profesjonalizacji pisarstwa, krytyki i badań literackich styl pracy z literaturą uznano za naturalną formę kontaktu z nią. A przecież opowieść narodziła się nie z ciszy, samotności i samotniczego pisania, lecz z mówienia, i to mówienia do kogoś. Była zatem przede wszystkim – jak u starożytnych Greków – rozmową, w której uczestniczyła konkretna ludzka zbiorowość; była wymianą słów, owszem, ale jeszcze bardziej emocji, nastrojów; wymianą doznań zmysłowych – ponieważ komunikacja grupowa zakłada w co najmniej równej mierze komunikację na poziomie ciała, „naenergetyzowanych” nastrojami, „nasączonych” uczuciami. Nie są to tylko metafory. Współczesne badania neurobiologiczne (np. prace Antónia Damásio czy Josepha E. LeDouxa) dowodzą, że emocje stanowią podstawę ludzkich doświadczeń, niezależnie od tego, że fundatorzy nowożytnej filozofii – głównie Kartezjusz, którego Żychliński zresztą także afirmatywnie przywołuje – próbowali usunąć je w cień, za źródło właściwego poznania mylnie uznając tylko i wyłącznie spekulacje czystego rozumu.

Wyobrażam sobie, że najpierwotniejsze opowieści, jeszcze sprzed epoki pisma, były czymś w rodzaju współczesnych występów tzw. starytellerów, amerykańskich kaznodziejów czy cieszących się często ogromną popularnością trenerów rozwoju osobistego. Niezależnie od tego, co sądzimy o wartości takich „mityngów” (ich najwcześniejszą pisaną formą literacką były właśnie utwory greckich tragików i komediopisarzy, inscenizowane w przestrzeni publicznej i przeznaczone dla szerokiego odbiorcy), to przecież właśnie wtedy widowiskowo ujawnia się ów narracyjny instynkt, który tak barwnie opisuje Żychliński. Człowieka nazywa on zgrabnie „zwierzędziem żyjącym w opowieściach” (s. 163). Trudno o większą pomyłkę: człowiek to zwierzę żyjące w świecie pośród innych zwierząt (czyli ludzi) – m.in. za pośrednictwem opowieści. Bo opowieść to bycie z innymi; to czynność, do której nie potrzeba osobnego pomieszczenia – laboratorium – lecz realnego doświadczenia wspólnoty umysłów i ciał. Jeśli fikcja ma być czymś więcej niż... fikcją, to znaczy grą na podstawie z góry ustalonych zasad i eliminującą jakiekolwiek poważniejsze ryzyko, powinna nie tylko umożliwiać prowadzenie odpowiednich doświadczeń egzystencjalnych, ale też pozwolić doświadczać. Różnica

między jednym a drugim jest zasadnicza: to jak różnica między poznawaniem a odgrywaniem poznania, tak jak na scenie odgrywa się pewną rolę. Ta rola może być nawet interesująca, wartościowa poznawczo, ale ostatecznie to tylko rola. To, co nazywamy przeżywaniem cudzych przeżyć i myśleniem cudzych myśli, będzie w tym wypadku po prostu inscenizacją przeżywania i myślenia w zgodzie z określonym paradygmatem gry. W tej sytuacji trudno się zgodzić choćby z przywoływanym w wariacji sto siedemdziesiątej dziewiętej Borgesem, który twierdzi, że lektura książki jest przeżyciem równie autentycznym jak podróż albo zakochanie (s. 214); trudno uwierzyć Proustowi, który zapewnia, że „jedyne życie rzeczywiście przeżyte – to literatura” (s. 284). Doceniam literacką efektywność takich sentencji – z pewnością bardzo znacznie prezentują się w sztambuchu filologa – nie sądzę jednak, by efektywnie pomogły nam one zrozumieć, czym jest fabrykowanie narracji w jej najważniejszym wymiarze: komunikacyjnym i kooperacyjnym.

4.

Filologiczne obrzędy Arkadiusza Żychlińskiego mają w sobie coś z atmosfery panującej na obrazach Edwarda Hoppera: są pociągające i piękne, pełne skrywanej pasji, zakłętej w rytualnym, nieco pomnikowym geście wyrafinowanego stylu – a jednak wolę trzymać się od nich z daleka. A może to ten świat trzyma z daleka od siebie, redukując mnie do roli kogoś, komu wolno co najwyżej „asystować” podczas filologicznych ceremonii? Wariacja numer trzy: „Martin Heidegger, obserwując zataczającego kręgi myszołowa, mówi [...]: «Tak powinno się umieć myśleć!»” (s. 102). Ciekawe – najtrudniej jest przecież wejść do cudzego kręgu. Znów te monady.

Przy całej intelektualnej otwartości Arkadiusza Żychlińskiego, przy jego niebywalej pomysłowości i erudycji, chyba niemającej sobie równych wśród polskich badaczy młodszego pokolenia, książka *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne* to moim zdaniem taki zataczający kręgi „myszołów”, okrażenie za okrażeniem nieubłagane domykający przestrzeń swobody czytelnika. Widać to doskonale w strukturze pracy, rządzącej się regułą paliatywnego domknięcia poznawczego: cokolwiek rytualne powtórzenia, trące, szczególnie w rozdziałach początkowych, nadmiernym dydaktyzmem, jak gdyby autor od razu chciał odpowiednio „sformatować” czytelnika, precyzyjnie informując go o warunkach gry, do której rozpoczęcia za chwilę da sygnał; setki odniesień, komentarzy i komentarzy do komentarzy – jak gdyby ich brak miał natychmiast wywołać u odbiorcy *horror vacui*; obszerne przypisy,

które Żychliński elegancko upakuje jako nieledwie odrębną część pracy; do tego wielka mnogość cytatów, zaczerpniętych od rozmaitych autorów i zawsze prawie przywoływanych w oryginalnym brzmieniu, także wtedy, kiedy ich treść jest doprawdy banalna i nie zachodzi ryzyko przekładowej pomyłki – dodajmy, że Żychliński tłumaczy ze wszystkich języków prawie bez wyjątku samodzielnie, z reguły nie ufając istniejącym spolszczeniom.

Krótko mówiąc, im bardziej poznajemy metodę autora, tym mocniej odczuwamy, że jest ona przede wszystkim siecią, której zadaniem jest raczej „unieruchomienie” czytelnika, tak aby nie mógł on odwrócić spojrzenia od gigantycznej eksplozji teorii (a może po prostu narracji? Fikcji?), jaką przygotowuje dla niego (gawędziarz?) Żychliński. Zresztą chyba sam autor jest tego po trosze autoironicznie świadomy, w końcu puszcza do nas w pewnym miejscu takie oto oko (w postaci cytatu z książki *Porządek alfabetyczny* Juana José Millása): „Kontemplując dłuższy czas zabiegi pająka, zacząłem z soków myśli wysnuwać nic, z której niebawem powstała w mojej głowie sieć, a do niej zaczęły kolejno wpadać idee o kształtach much, motyli, małych świerszczy. Gdy tylko złapałem jakąś ideę, szybko do niej podbiegałem, wstrzykiwałem płyn, który ją paraliżował, chociaż pozostawiał przy życiu w znośnym stanie, a potem znowu ukrywałem się za siecią. Jeśli nachodził mnie apetyt na idee, zbliżałem się do nich i ostrożnie je połykałem” (wariacja numer sto siedemdziesiąt, s. 208). To nawet zabawne, oczywiście pod warunkiem, że ktoś lubi, jak mu się wstrzykuje taki paraliżujący płyn.

W ten sposób można sobie eksperymentować właściwie w nieskończoność. To z pewnością pięknie i twórcze. Tylko jaki związek mają takie laboratoryjne eksperymenty z życiem (a takiego związku Arkadiusz Żychliński poszukuje, jak twierdzi, na każdym kroku), skoro życie polega, owszem, na eksperymentowaniu, ale w jeszcze większej mierze na dokonywaniu określonych wyborów, za które – inaczej niż w laboratorium – ponosi się konsekwencje, nierzadko poważne? Czego w tym wszystkim najbardziej brakuje, to „komunikacyjnego” pomostu, który ze solipsystycznego (powiedziałbym nawet, że chwilami autystycznego) laboratorium antropofikcji miałby prowadzić do życia. Czyli od filologii do egzystencji. Co ciekawe, autor nawet i zdaje sobie sprawę z tego braku. Posiłkując się (a jakże!) wybornym cytatem, kryptoautobiograficznie zapytuje: „«Jakie miejsce zajmują książki w twoim życiu, czy są tarczą, którą się zasłaniasz, aby trzymać się z daleka od zewnętrznego świata, narkotycznym snem, w jaki zapadasz, czy też są pomostem przerzuconym na zewnątrz do świata, który interesuje cię tak bardzo, że dzięki książkom chciałbyś pomnożyć i rozszerzyć jego wymiary?» I jeśli

już zgodzimy się na drugą odpowiedź, pozostaje pytanie o to, jak przejść po owym pomoście” (wariacja numer sto siedemdziesiąt dwa, s. 210). Niestety właśnie na to kluczowe pytanie nigdzie nie ma u Żychlińskiego choćby śladu odpowiedzi, mimo że akurat ona byłaby w tym miejscu niezwykle istotna. Sprawia to wrażenie uniku.

Więc o czym jest właściwie ta książka – buchająca od energii intelektualnej, eksplodująca kreatywnością, pełna kapitalnych intuicji? Może jest po prostu tym, o czym mówi wariacja numer sto sześć: „Ssąc wystygłą fajkę, pytam później siebie samego [...], co właściwie robię [...]: – projekty jakiegos «ja»!” (s. 164). Tako rzecze Max Frisch.

Pardon, Arkadiusz Żychliński.

5.

Wydawało mi się, że *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne* chce od filologii czegoś więcej niż tylko rozpisanego na kilkaset stron uzasadnienia potrzeby grania w swoją ulubioną grę, grę o nazwie „ja”. Ale ostatecznie, jak Żychliński nieustannie podkreśla, to przecież jego wizja filologii, to jego gra. Inna nazwa gry: „Ufundowanie własnej genealogii” (s. 120). Jeśli ktoś zechce dołączyć do zabawy i zaakceptować ustalone reguły, autor z pewnością będzie rad. Jeśli nikt taki się nie znajdzie, nie będzie nad tym szczególnie mocno ubolewał. Pobawi się w pojedynkę, tym lepiej, nikt mu nie zakłóci ceremonii gry.

Być może to nawet uczciwe postawienie sprawy. Nie jestem tylko pewien, czy filologii z taką uczciwością rzeczywiście po drodze.

Abstract

Łukasz Musiał

ADAM MICKIEWICZ UNIVERSITY (POZNAŃ)

Arkadiusz Żychliński's Laboratories of Anthropofiction

This article polemicalizes with Arkadiusz Żychliński's book *Laboratoria antropofikcji: Dociekania filologiczne* [Laboratories of Anthropofiction: Philological Investigations], but Musiał also departs from Żychliński's key concepts. First, he reconstructs the book's main points, especially Żychliński's claim that a person's natural way of interacting with themselves, others and the world is so-called fabulation (i.e. creating a story), which is why *homo sapiens* as a species was able to surpass the role of being an object in the evolutionary experiment and instead became a conscious subject in it. Żychliński also makes an innovative contribution to traditional philology in that he brings it into conversation with analytical philosophy and the philosophy of language (Donald Davidson), philosophy of mind (Daniel C. Dennett), developmental and evolutionary psychology (Michael Tomasello), and ethology. In the second part of the article Musiał polemicalizes with Żychliński's main points, pointing out – with reference to contemporary cognitivist theory and the theory of the 'embodied mind' – the non-communicative nature of his concept of philology (in broader terms: the notion of fiction).

Keywords

philology, natural history, evolutionary psychology, fiction, narration